Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy“ Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok III. WARSZAWA, DNIA 10 STYCZNIA 1925. Nr 70.

Bilans gospodarki p. Aleksandra Skrzyńskiego.

Lewica sejmowa popierając kandydaturę p. Aleksandra Skrzyńskiego na ministra spraw zagranicznych, a więc tem samem biorąc zań odpowiedzialność, postawiła mu dwa żądania:

1) przywrócenia Polsce na terenie międzynarodowym poderwanego przez M. Seydę, Dmowskiego i M. Zamoyskiego, należnego jej *prestige'u*, a to przez przejście ze stanu bierności, uległości i kaprysów do poważnej współpracy z dyplomacją narodów ożywionych szczerą chęcią utrwalenia pokoju na zasadach określonych przez istniejące traktaty;

2) reorganizacji naszego korpusu dyplomatycznego w centrali i na placówkach zagranicznych z tym zasadniczym celem, aby z mafji narodowo-demokratycznych niedołęgów lub szkodników stał się on poprawnym i lojalnym instrumentem państwowej polskiej racji stanu.

Charakter pracy p. Skrzyńskiego w zakresie pierwszego z tych żądań był już wielokrotnie przedmiotem naszych rozważań. Obecnie zajmiemy się owocami prac ministra w zakresie drugiego z postawionych mu warunków.

Rola i zadania dyplomacji dadzą się przyrównać wyłącznie do zadań armji w czasie wojny. Jeżeli bezpieczeństwo i los państwa spoczywa w czasie wojny w rękach wodzów i karabinach walczących żołnierzy, o ileż większą za nie odpowiedzialność, zarówno w czasie pokoju, jak wojny, ponosi kor-

pus dyplomatyczny danego państwa. W codziennem zetknięciu z przejawami życia, aspiracji, interesów i polityki wszystkich, mających wpływ na losy jego ojczyzny, narodów świata, dyplomata z niezmierną czujnością musi chwytać i odwracać od swej ojczyzny wszystkie najdrobniejsze nawet niebezpieczeństwa, zagrażające bądź to jej żywotnym interesom, bądź całości i pokojowi. Z drugiej strony jest on wobec obcego narodu rzecznikiem praw, wartości materjalnych i ideałów swej ojczyzny, jest on współtwórcą fundamentów moralnych, na których narasta kapitał zaufania i powagi jego państwa w świecie. Historja pełna jest przykładów dyplomatów, którzy bez użycia innych środków krom własnego talentu dźwigali swe narody z poniżenia lub zapomnienia na szczyty znaczenia w świecie, lub naodwrót, jak niedołęstwo dyplomatów pozbawiało narody sukcesów osiągniętych w życiu organicznem lub w walce orężnej, wikłając je bez potrzeby w burze wojenne, lub fałszywą, klęski niosącą; grę międzynarodową.

Przykładów złej i dobrej dyplomacji gamę całą znajdziemy i w powojennym rozwoju stosunków światowych: wznoszenia się i opadania *prestige'u* narodów, zmienności odnoszonych przez nie sukcesów, mimo, iż warunki ich egzystenci i realne, w ich posiadaniu pozostające, wartości nie ulegały w tym czasie znaczniejszym przemianom.

Życie nie zna pojęć abstrakcyjnych: sukcesy narodów na polach bitew, dyplomacji, rozwoju socjalnego lub gospodarczego wiążą się zawsze z imionami wodzów lub mężów stanu— ludzka ręka z jednej i tej samej bryły martwego marmuru wykuwa wieczne i życiem tchnące dzieło sztuki, lub rozbija ją na szaber wypełniający doły publicznych gościńców. Niema też dobrej lub złej dyplomacji, są dobrzy lub nieudolni dyplomaci i ich praca. I niema, zdawałoby się, nic prostszego nad prawdę, że nie można rękoma matołków i nieuków dokonywać w polityce międzynarodowej, lub innym rzemiośle, dzieł pożytecznych i poprawnych, nie mówiąc już o wielkich.

Stąd zrozumiałym się staje nacisk, jaki odpowiedzialni i rozważni politycy stronnictw lewicy parlamentarnej położyli wobec p. Aleksandra Skrzyńskiego na konieczność reorganiżacji osobowej naszego korpusu dyplomatycznego, zanieczyszczonego i w znacznej mierze rozbitego przez pp. Seydę, Dmowskiego i Zamoyskiego, za których *de facto* rządy sprawowała klika agitatorów Endecji, wysłana przez partję dla zrobienia „porządków“ w M. S. Zagranicznych, a mianowicie pp: Zieliński, Natansohn, Koźmiński, T. Romer i inni. Nie było tu, rzecz prosta, mowy o jakimś odwecie partyjnym, o powtórzeniu z odwrotnego końca metody trzech poprzedników p. Skrzyńskiego; nie było również żądań niemożliwych do spełnienia—by niezwłocznie po objęciu urzędu powołał do służby dyplomatycznej wytrawnych i genjalnych urzędników, jakich jeszcze nie zdołaliśmy wychować i wykształcić.

Warunek ten, na język praktyczny przetłumaczony, sprowadzał się do żądania usunięcia ze służby w M. S. Zagr. wszystkich nieuków i paniczyków, wprowadzonych na stanowiska przez patronkę polskiej tragedji — protekcję, dla ratowania w służbie dyplomatycznej podupadłego blasku rodów, lub za zasługi około utrwalenia w mózgach kołtunerji sławy Endecji, ludzi bez żadnych zdolności i kwalifikacji dla sprostania zadaniom rozdanych im hojnie stanowisk. To była pierwsza część zadania, złożonego przez lewicę lekkomyślnie w ręcę p. Skrzyńskiego. Druga polegała na palącej konieczności przywrócenia na stanowiska wszystkich zdolnych urzędników, usuniętych w okresie rządów mafji Zielińskich, Koźmińskich i Natansohnów z przyczyn natury czysto partyjnej i koteryjnej, z jawnem pogwałceniem względów pożytku państwowego i zasad praworządności. Zadania część trzecia i ostatnia, to takie stopniowe kompletowanie korpusu dyplomatycznego, aby z jednej strony reprezentował on wobec świata demokratyczną Rzeczpospolitą, a jednocześnie, przez dobór ludzi uzdolnionych i pracowitych, dawał maximum gwarancji powolnego dorastania do wysokich ciążących na nim zadań.

Otóż trzeba po kilku miesiącach urzędowania p. Skrzyńskiego stwierdzić, iż cała ta olbrzymia i wysoce odpowiedzialna część jego pracy ministerjalnej nie została nawet tknięta w sensie rozumnych żądań rzeczników państwowej racji stanu, że przeciwnie, wszystko co do tej pory uczynił w zakresie zmian na stanowiskach urzędu spraw zagranicznych jest niczem więcej, jak kontynuowaniem polityki p. M. Seydy z domieszką dość nieszlachetnego czynnika — względów rodzinnych.

Wystarczy przejrzeć rejestr nominatów p. Skrzyńskiego, by się dokumentalnie przekonać, że po za ostatnio powołanym na posła w Moskwie prof. Kętszyńskim, dodajmy—powołanym po wielokrotnych próbach znalezienia na to niezmiernie trudne stanowisko kogoś z arystokracji lub członków Klubu Myśliwskiego, i wejściem do centrali wraz z p. Skrzyńskim p. Łukasiewicza, nikt z dawnych zdolnych i zasłużonych urzędników lub nowych wartościowych sił, nie znalazł uznania w oczach p. ministra i jego wpływowych współpracowników.

Natomiast niezwłocznie po objęciu urzędu p. Aleksander Skrzyński awansuje swego szwagra hr. Jana Szembeka z Budapesztu, gdzie wykazał kompletny brak zdolności i zainteresowania sprawami swego urzędu, na posła w Belgji; stryjecznego brata hr. Ksawerego Skrzyńskiego, człowieka podlegającego przypadłościom choroby umysłowej, mianował I-szym sakretarzem poselstwa w Moskwie; osobistego przyjaciela Pawła Jurjewicza mianuje radcą legacyjnym poselstwa w Londynie w randze ministra; serdecznego przyjaciela hr. Czajkowskiego awansuje z urzędnika kontraktowego na sekretarza legacyjnego, oraz również wiernego przyjaciela i kolegę ze służby austry-

jackiej hr. Michałowskiego mianuje posłem w Budapeszcie. Ani jeden z familjantów nie wyróżnia się zdolnościami, lub wykształceniem, przeciwnie — próżno szukalibyśmy wśród nich siły przeciętnie do służby dyplomatycznej chociażby ukwalifikowanej.

W dalszych zmianach, czynionych pod naciskiem protekcji Klubu Myśliwskiego i z respektu przed Endecją, znajdujemy całą galerję operetkowych dyplomatów z nieprawdziwego zdarzenia. Wyczerpmy ich listę, by nikogo nie uronić i nie popaść w podejrzenie, iż wymieniamy tylko niedołęgów, przemilczając ludzi utalentowanych.

A więc ludzie Komitetu Narodowego i Endecji: hr. Władysław Sobański, skompromitowany operacjami finansowemi, przeniesiony na wyższy budżet na posła do Madrytu; Czesław Andrycz, urzędnik wyjątkowo tępy, mianowany *chargé d'affaeres* w Atenach; Jerzy Tomaszewski, kwalifikacje jak Andrycz, awansowany na *chargé d'affaires* w Budapeszcie; Jan Lipski z II sekretarza w Paryżu awansowany na radcę poselstwa w Berlinie; Koźmiński Stanisław, członek mafji endeckiej, usunięty z powodu kompletnej głupoty nawet przez Zamoyskiego, zamianowany posłem w Hadze, skąd dla opróżnienia dlań miejsca odwołany zostaje poseł Kowalski; hr. Konstanty Skrzyński, przysięgły endek i przyjaciel Zielińskiego, mianowany konsulem generalnym i *chargé d'affaires* w Charkowie; Jan Karszo-Siedlecki, b. sekretarz osobisty p. Paderewskiej, czynny „czyściciel" M. S. Zagr. za czasów Seydy, mianowany radcą legacyjnym w Pradze; Tadeusz Romer, członek mafji jezuickiej, sekretarz Zamojskiego, intrygant, awansowany na faktycznego naczelnika wydziału zachodniego.

Wreszcie wymienić należy ostatnią grupę pupilów p. Skrzyńskiego, przedstawicieli klubu Myśliwskiego. W tej kategorji znajdujemy: Konstantego Rozwadowskiego, b. inspektor biurowości w M. S. Z., człowieka przysłowiowo niezdolnego, mianowanego posłem w Kopenhadze; hr. Stanisława Łosia, referenta, przez Seydę postawionego na czele referatu niemieckiego, obecnie mianowanego dyrektorem wydziału ogólnego, i wreszcie Leona Goldstanda, b. honorowego konsula w Londynie, mianowanego radcą poselstwa w Rzymie.

Jeśli po za przytoczonemi powyżej p. Skrzyński dokonał jeszcze jakich poważniejszych zmian, mogących rzucić inne światło na jego gospodarkę w M. S. Z., niewątpliwie nieomieszka tego przez biuro prasowe ogłosić. Na razie nic ponad przytoczone przez nas do wiadomości publicznej nie doszło i przeto nie może być brane za podstawę wnioskowania.

A wnioski te są proste i niewątpliwie jasne. Wskazują one, że p. Skrzyński, sam zdolny dyplomata, nie docenia znaczenia instrumentu, którym, jako minister, ma operować; że jego polityka w sprawach personalnych nie różni się niczem

od polityki Seydy, Dmowskiego i Zielińskiego; że dalsze trwanie lewicy w uprzejmem o tych sprawach milczeniu jest w najwyższym stopniu szkodliwe dla interesów państwa, które w rękach dyplomatów lansowanych przez p. Skrzyńskiego wystawione są na coraz groźniejsze niebezpieczeństwo.

Dla lewicy parlamentarnej popierającej obecnego ministra spraw zagranicznych nadszedł czas poddania sumiennej rewizji swego względem niego stosunku i rozważenia pytania: czy i w jakich warunkach może ona brać zań w dalszym ciągu odpowiedzialność?

W. Stpiczyński.

Na marginesach pracy Marszałka Piłsudskiego—„Rok 1920”.

Książka Marszałka Piłsudskiego, „Rok 1920“, jakkolwiek obudziła wielkie zainteresowanie zarówno wśród wojska, jak i całego społeczeństwa, jakkolwiek rozschwytaną została omal natychmiast po ukazaniu się na półkach księgarskich, nie doczekała się dotychczas należytej oceny i poważniejszych fachowych opracowań, nie wywołała polemiki i liczniejszych głosów krytycznych, które bądź co bądź przyczyniłyby się znacznie do zainteresowania się nią zagranicą i do zrozumienia i przetrawienia przez nasze społeczeństwo tak doniosłego dla dziejów Nowej Polski okresu, jakim jest okres od końca r. 1918 do 1921.

A jest to okres zasadniczy dla dalszego istnienia niepodległego Państwa Polskiego, albowiem on to właśnie dowiódł, że byt nasz niezależny, wartość i siła naszej odporności wobec zamachów z zewnątrz — określają się omal jedynie i wyłącznie natężeniem woli narodu liczącego na własne siły i przełamującego pozostałości okresu niewoli w psychice pewnej części społeczeństwa, podporządkowującej się i naginającej do woli możnych opiekunów.

Tryumfującym finałem tego okresu jest właśnie rok 1920, rok, w którym idea Legjonów, idea zbrojnej walki o niepodległość, stała się żywem ciałem, urzeczywistniła się realnie i osiągnęła (zewnętrznie przynajmniej) to, do czego dążyła.

Może też dla tego praca Marszałka Piłsudskiego nie otrzymała należytego oświetlenia, że dzięki niej właśnie jeszcze raz padł jasny promień na istotę poczynań legjonowych i na psychikę tej części społeczeństwa, która nie wierzyła w siły moralne narodu, która w okresie niewoli przeciwstawiała się idei niepodległości, która po zwycięstwie w roku 1920 skłonna była przypisać go siłom wyższym, Francuzom, gen. Weygandowi, zbigowi okoliczności i t. d., byle nie Komendantowi Piłsudskiemu i rozbudzonemu przez niego narodowi.

Po dłuższem sprawozdaniu, napisanem przez gen. Stachiewicza, a zamieszczonem w *Bellonie*, oraz po kilku zaledwie głosach prasy codziennej — nikłych, niezdecydowanych, świadczących, iż autorzy bardzo niepewnie czuli się wśród poruszonych zagadnień i tematu, zapanowała martwa cisza, nieprzerywana obecnie nawet prywatnemi zapewnieniami o przygotowujących się „fachowych“ odpowiednich, „dziełach“, broszurach i t. d.

Zjawisko to, powtarzamy, tak szkodliwe dla zrozumienia przez społeczeństwo najdonioślejszego dla państwa okresu, tak szkodliwe również dla podniesienia naszego znaczenia na Zachodzie, tłumaczy się z jednej strony, niestety, brakiem faktycznie fachowych krytyków wśród starszego pokolenia wojskowego, z drugiej zaś niewyrobieniem i nieśmiałością nowych sił sztabowych, zasugestjonowanych w pewnej swej części przez wpływy natury ubocznej, o której mówić tu nie będziemy.

W artykule niniejszym nie mamy na widoku strony fachowej dzieła Marszałka Piłsudskiego, nie do nas bowiem ona należy. Natomiast pragniemy poruszyć tu polityczne i propagandowe znaczenie wymienionej pracy, oraz rozdziału VIII-go broszury M. Tuchaczewskiego.

Motywem, usprawiedliwiającym napisanie tych kilku uwag, jest ostatnia zmiana w polityce angielskiej w stosunku do Rosji (oraz do Polski) i niewyzyskanie przez naszą oficjalną i nieoficjalną (publicystyczną) propagandę wartości, zawartych w dwóch ostatnich rozdziałach pracy Marszałka Piłsudskiego, oraz doniosłych oświadczeń p. Tuchaczewskiego, zamieszczonych w jego broszurze, w rozdziale zatytułowanym „Rewolucja z zewnątrz“.

Otóż polityka angielska, niedoceniająca przez lat 6 znaczenia dla Zachodu istnienia silnego państwa Polskiego, dopiero teraz, na skutek dotkliwych doświadczeń azjatyckich i egipskich, przekonawszy się na swej skórze o prawdach, już od lat 6-ciu głoszonych o sowietach przez źródła polskie, zaczyna nas traktować cokolwiek inaczej, zaczyna rozumieć konieczność naszego istnienia jako silnego organizmu państwowego, mającego na Wschodzie zadania o znaczeniu ogólno-europejskiem.

Gdyby jednakże nasza akcja propagandowa uprzednio wyzyskała była należycie zwycięstwo polskie nad Rosją, odniesione w r. 1920, gdyby ta propaganda, mówiąc szczerze, faktycznie istniała, prawdopodobnie stosunek do nas Anglji nie opierałby się jedynie na traktowaniu nas jako francuskiej pięty achillesowej.

Jakkolwiek obecnie siłą doświadczeń stosunek Anglji do Polski zwolna ulega zmianie, zjawisko to nie upoważnia bynajmniej naszej propagandy do biernego przyglądania się wy-

padkom. Wprost przeciwnie! Chwila obecna jest właśnie bardzo korzystna dla przeprowadzenia na Zachodzie tych zadań propagandowych, które dotychczas nie zostały wykonane. Bogatego materjału do tej akcji mogą dostarczyć rozdziały pracy Marszałka Piłsudskiego oraz wspomniany już rozdział broszury Tuchaczewskiego.

— „Jaki był stan proletarjatu zachodnio-europejskiego"?— pyta Tuchaczewski. „Czy był on przygotowany do rewolucji? Czy mógłby był wesprzeć, wlać się w lawinę socjalistyczną, która toczyła się ze wschodu, niosąc mu wolność? Dalsze wydarzenia dają wyraźną odpowiedź twierdzącą na te pytanie".

— „Czy Europa, pyta dalej Tuchaczewski, mogła odpowiedzieć na ten ruch socjalistyczny przez wybuch rewolucji na zachodzie? Wypadki mówią, że tak ...Niemcy kipiały i dla ostatecznego wybuchu czekały tylko, aby dotknął ich zbrojny potok rewolucji... W Prusach Wschodnich, kiedy otarliśmy się o nie, popłynęły do nas setki i tysiące ochotników, spartakusowców i robotników bezpartyjnych, pod sztandary czerwonej armji, tworząc w niej niemiecką brygadę strzelców... W Anglji klasa robotnicza była również ogarnięta przez najwyższy ruch socjalistyczny. Komitet ruchu stanął do jawnej walki z rządem angielskim. Pozycja tego ostatniego była silnie zachwiana. Położenie przypominało stan rządu carskiego w epoce istnienia rady delegatów robotniczych w roku 1905... We Włoszech wybuchła prawdziwa rewolucja proletarjacka... We wszystkich krajach europejskich położenie kapitału zachwiało się — klasa robotnicza podniosła głowę i porwała za broń".

Najważniejszem jednak w broszurze Tuchaczewskiego jest oświadczenie następujące:

— „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy byli zwyciężyli nad Wisłą, wówczas rewolucja ogarnęłaby płomieniem cały ląd europejski".

Widzimy więc, że cały rozdział VIII-y broszury Tuchaczewskiego dowodzi, iż tylko dzięki zwycięstwu nad Wisłą, dzięki „ryzykanckiemu" pomysłowi Marszałka Piłsudskiego uderzenia z nad Wieprza, dzięki jednem słowem Polsce — kultura Europy nie została podeptana przez dzicz moskiewską, marzącą od lat stu o przejściu przez wszystkie stolice Europy hord kozackich, niosących zniszczenie, pożogę i oplwanie wszystkiego, co stanowi istotę kultury europejskiej i godności człowieka.

Te doniosłe wynurzenia Tuchaczewskiego zostały pominięte milczeniem przez naszą propagandę zagraniczną, a ledwie wspomiane przez prasę. Czesi zrobiliby z podobnych dokumentów gwałt na całym świecie. Wszystkie pisma francuskie i angielskie poświęciłyby im najwyższą uwagę. My robimy inaczej, a raczej nic nie robimy.

Powróćmy jednak do pracy Marszałka Piłsudskiego. Końcowe jej dwa rozdziały, a mianowicie IX i X, są niewyczer-

panem źródłem dla naszej propagandy zagranicznej. Konieczność odpowiedniego wykorzystania materjałów tam zawartych rzuca się każdemu w oczy. Świetna odprawa, dana Tuchaczewskiemu z powodu rozdziału VIII-go jego broszury, zawiera cały szereg nieocenionych wprost momentów, ilustrujących zasadnicze pierwiastki zaborczego ducha rosyjskiego, pierwiastki, wyłaniające się stale, bez względu na rządy, które w tej chwili panują w Rosji.

— „Pan Tuchaczewski, pisze Marszałek, prowadził swe armje ku Wiśle i za Wisłą w imieniu i z zadaniem niesienia siłą tego, co w rozważaniach zagadnienia nazywa rewolucją. Zgodnie z tem i tytuł rozdziału brzmi „Rewolucja z zewnątrz". W każdym razie faktem było niezaprzeczonym, co stwierdza i p. Tuchaczewski, że sowiecka Rosja wojnę prowadziła z nami pod hasłem narzucenia nam, Polakom, ustroju jednakowego ze sobą, to znaczy sowieckiego i ten cel chrzciła nazwą rewolucji z zewnątrz. ...Stwierdzam odrazu, że osobiście prowadziłem wojnę nie o co innego, jak o to, aby ta rewolucja z zewnątrz przez sowieckie bagnety do nas przyniesioną nie była".

Polska w okresia niewoli „jak zapewne p. Tuchaczewskiemu wiadomo, żyć była zmuszoną — również przez bagnety, panie Tuchaczewski, życiem nie polskim, przez siebie samą urządzonem, lecz życiem obcem, związanem aż z trzema państwami...".

Zdań podobnych, posiadających wartość najlepszych argumentów dla propagandy zagranicznej, znajduje się w wymienionej pracy mnóstwo.

Czy pracą tą jednak zainteresowały się nasze placówki dyplomatyczne, czy zwrócono na nią uwagę społeczeństwom Zachodnim, czy nasi *attachés* wojskowi rozmawiali o niej ze sferami wojskowemi odnośnych krajów? — Oto pytania, które narzucają się każdemu, rozumiejącemu doniosłość wyświetlenia istotnego znaczenia naszego państwa dla Europy, dla kultury Zachodu.

Marjan Uzd.

Francuska lekcja taktu dla p. Sikorskiego.

P. generał Władysław Sikorski przejdzie do historji naszych czasów jako klasyczny przykład nietaktownego człowieka. Za 100 lat jeszcze, gdy któremuś z polityków na świecie zdarzy się popełnić *fau pas*, złośliwi publicyści wywoływać będą widmo lorda gaff Sikorskiego, który dzięki niebotycznej naiwności współczesnych zdołał w pierwszej połowie XX wieku wywołać swoją osobą tyle zamięszania nad Sekwaną wschodu Europy w mazowieckim Paryżu, który tyle miał wspólnego ze swoim pierwowzorem, że i tu nie robiono ryżu z owsa, mimo iż namiętnie wierzono w cuda.

W pamiętnikach wyższych oficerów sztabowych znajdą się niewątpliwie przeliczne przykłady nieprzeciętnej umiejętności obecnego ich ministra popełniania skandalicznych nietaktów, obrażających do głębi bez powodu najpoważniejszych ludzi, narażających na szwank powagę piastowanego przezeń urzędu, a nawet państwa. Zachowa się wiele w tym względzie wspomnień współczesnych polityków, ministrów i dyplomatów polskich, dla umiejących czytać nie mało dostarczą ich roczniki prasy.

Któż bowiem z taką beztroską o przyzwoitość i zasadnicze wymagania rozumu politycznego potrafi, jak p. Władysław Sikorski, pochwalić się przed społeczeństwem przez usta jakowychś przyjaciół, przypadkowo, zupełnie nieoczekiwanie indagujących go w Krakowie, jakoby ze strony „pewnych kół sejmowych", czyniono mu „propozycję objęcia prezydentury rządu" i że nie „mógłby", chociaż bardzo chce, „takiej propozycji przyjąć, będąc przecież ministrem w gabinecie p. Grabskiego". Podziwiajmyż tę subtelność, z jaką p. Sikorski chwali się swą lojalnością wobec p. Wł. Grabskiego, dając jednocześnie do zrozumienia: obalcie go, a wtedy będę mógł przyjąć propozycję „pewnych kół sejmowych", boć przecież dziecko nawet zrozumie, że nie można objąć zajętego urzędu. Stąd ten jęk rozpaczy ...„nie mógłbym" ...„będąc ministrem w gabinecie p. Grabskiego". Ale pozbądźmy się złudzeń co do istotnej niemożliwości takiego cudu. P. Sikorski ma praktykę zdobywania zajętych stanowisk—podkupił przecież Sosnkowskiego, i nie trzeba wątpić, iż dzisiaj potrafi podkupić Grabskiego. Człowiek, dla którego największym dobrem Polski jest on sam, dziś czy jutro „będzie mógł" przyjąć propozycję „pewnych kół", przelicytowawszy uciążliwego Grabskiego przez odkręcenie dla tych kół śruby podatkowej i zasilenie ich obfitszą strugą kredytu z kasy skarbowej.

I jakże ta roztelegrafowana przez ajencje telegraficzne po całej Polsce deklaracja o propozycji „pewnych kół" idealnie zbiega się z innym ewenementem politycznym – zjazdem w Krynicy p.p. Witosa i Korfantego z p. marszałkiem Ratajem, deliberujących właśnie nad sposobami rzucenia głosu „pewnych kół" p. Sikorskiego na szalę losów gabinetu p. Władysława Grabskiego.

Tymczasem, narazie, opatrznościowy kandytat na wszystkie teki i wszystkie najwyższe w Rzeczypospolitej urzędy, liczący w cichości ducha dni żywota i Grabskiego, i Skrzyńskiego, i Rataja, i Wojciechowskiego, a przedewszystkiem, blady na generalskim obliczu strach budzącego, Piłsudskiego, i jeszcze niespokojnego o Sosnkowskiego i Rydza-Śmigłego, tymczasem ten najnieszczęśliwszy w Polsce, bo tak strasznemi widmami trapiony i z tylu rywalami walczący, człowiek, obyczajem tradycyjnym warchołów i endeków kaptuje dla siebie

w pocie czoła obce potencje, przekupuje opinję Francji. Pomiędzy dwoma potęgami mocarstwowemi: Francją i nim, gen. Sikorskim, nie ma miejsca na Polskę i stąd wykreślił jej godność, jej powagę, jej wielkość, jej imię ze swych dyplomatycznych zabiegów o sojusz, i z hasłem: chociażby przeciw Polsce a z Francją! żegluje szlakiem od Zamku przez pałac Namiestnikowski ku „przewiewnym“ komnatom Belwederu.

Leżą przed nami №№ 355 z r. ub. i 3-ci z r. b. organu urzędowego wszechkandydata na wszechgodności, *Polski Zbrojnej*, zawierające przeobfitą litanję telegramów noworocznych, rozesłanych przez p. Sikorskiego do osobistości zagranicznych wraz z ich odpowiedziami. Do samej Francji sztuk 12 bukietów uczuć „najlepszych, najszczerszych, żywych, najserdeczniejszych“: dla marszałka Focha, ministra gen. Nolleta, viceadmirała Salun, gen. Le Ronda, gen. Niessela, ministra marynarki Dumesnila, gubernatora Paryża (!) gen. Gouraud, gen. Debeney'a, gen. Weyganda, marszałka Petaina, prezydenta Izby Painlevé (!!) i wreszcie... deputowanego Maginot. (!!!)

Czyż to nie jest drastyczne lokajstwo, podrywające powagę i godność Rzeczypospolitej, by jej minister wojny biegał po Paryżu i wciskał, komu się tylko da, swe nieproszone serdeczności; czy jest choć odrobina sensu, aby minister spraw wojskowych *ex officio* wysyłał telegramy do prezydenta parlamentu, lub ni stąd ni z owąd do p. posła Maginot? Cenimy wedle zasług każdego obywatela i dostojnika francuskiego, życzymy im jaknajlepiej, i o tem przekonał się każdy z nich przy okazji odwiedzin naszej Ojczyzny. Ale gdzież i w jakim protokule dyplomatycznym może być dopuszczone, by minister jednego państwa składał pierwszy życzenia wojskowemu komendantowi jednego z miast państwa innego, jak gen. Sikorski gen. Gouraud lub innym, mniej lub więcej znacznym, osobistościom. Było rzeczą kurtuazji wysłanie słów pamięci ministrowi Nolletowi i marszałkom Francji, mógł szef sztabu gen. Haller wysłać analogiczny telegram do swego kolegi francuskiego, p. marszałek Sejmu do p. Painlevé, lecz *quo titulo* pcha się gdzie trzeba i nie trzeba gen. Sikorski, pozostanie tajemnicą jego poczucia taktu, który winien się stać przedmiotem zainteresowania szefa rządu.

Nie ulega wątpliwości, że gen. Nollet nie nadesłał życzeń gen. Suszyńskiemu, generałom szefom departamentów, a nawet polskim generałom broni.

Nietakt p. Sikorskiego znalazł w tym deszczu telegramów noworocznych jeszcze jeden znamienny wyraz, tym razem przyjęty przez francuzów bolesną choć subtelną lekcją przyzwoitości dla nadwiślańskiego wersalczyka.

Wystarczy rzucić tylko okiem na tekst życzeń p. ministra spraw wojskowych dla wszystkich, obdarzonych niemi generałów, a więc ministra, marszałków, szefa sztabu i t. d., aby ze

zdziwieniem zauważyć ich czysto osobisty charakter. Nigdzie ani śladu życzeń od armji polskiej, ani dla armji francuskiej. Jedyny wyjątek w telegramie do ministra gen. Nolleta dla... „personelu ministerstwa wojny", pozatem wszystkie zaczynają się od „ja" i na „ja" kończą.

A teraz rzućmy na chwilę wzrokiem na odpowiedzi. Wszyscy generałowie francuscy, w najmniejszym chociażby stopniu do tego upoważnieni, powtarzają zgodnie życzenia dla „armji polskiej". Klasycznym pod tym względem jest telegram gen. Nolleta, który na tekst życzeń p. Sikorskiego: „Proszę przyjąć z okazji Nowego Roku 1925-go najserdeczniejsze życzenia dla Pana Generała i personelu Ministerstwa Wojny", odpowiada: „Głęboko wzruszony depeszą Pana Generała, proszę przyjąć z okazji Nowego Roku życzenia dla Siebie i armji polskiej odemnie, jak również i od armji francuskiej". Tak francuski mąż stanu uczy rozumu i przyzwoitości polskiego pyszałka, który zanim się czegoś nauczył postanowił przelicytować na rozum największych ludzi dzisiejszej doby i zaćmić świat blagą swej wewnętrznej pustki, a namiętnością karjerowiczowstwa zastąpić kruszce talentu i idei.

w. s.

Straszna książka *).

W jednej z komedyj Bernarda Shaw oficer angielski dowiedziawszy się o zadecydowaniu kapitulacji pyta z przerażeniem: „Generale, co powie na to historja?", tamten zaś odpowiada z flegmą: „To, co zwykle: skłamie"... Atmosfera kłamstwa społecznego stała się z przyzwyczajenia tak niezbędną, że w momentach, gdy ją nam odejmują, zaczynamy formalnie się dusić. Takie uczucie braku powietrza wywołuje czasami książka-protest, książka-czyn, gdy autor od początku do końca głosi tylko i wyłącznie prawdę, rozszarpując gwałtownym ruchem misterne oczka sieci kłamstw umownych nad której utrzymaniem w całości czuwamy wszyscy w imię świętego spokoju, opłacając sowicie jej majstrów: biurokratów, profesorów, publicystów i dziennikarzy.

Jakkolwiek tradycja pierwszego w Europie ministerstwa oświecenia, w postaci Komisji Edukacji Narodowej, oparta jest na prawdzie, to jednak ów fakt prawdziwy został użyty jako fundament do zbudowania wieży kłamstwa, oplecionej pachnącym bluszczem legendy o naszem narodowem zamiłowaniu do oświaty. O zamiłowaniu tem mówi z przekonaniem każdy przeciętny inteligient, który od chwili kiedy „skończył wszystkie szkoły i nauki", nie wziął przez długie lata do ręki ani jednej książki z potrzeby duchowej, poprzestając na literaturze

*) *St. Sempołowska*—„Z tajemnic Ciemnogrodu" (Walka o szkołę). Warszawa 1924. Nakł. Spółdz. Księg. „Książka". 8-o, str. 52.

ściśle praktycznego użytku. Każdy taki inteligient wierzy głęboko, że w Polsce istnieje powszechne, obowiązkowe, bezpłatne nauczanie i że każdy rok szkolny zmniejsza w znacznym stopniu odsetek analfabetów, zagrażających naszej sile i zwartości społecznej.

Odzywają się wprawdzie tu i tam jakieś niepokojące głosy, dochodzą echa groźnych uchwał jakichś zjazdów nauczycielskich, — lecz miarodajne organy prasy potrafią tak zręcznie rzecz zatuszować, zwaliwszy ją na barki garstki bolszewizujących wichrzycieli, że obywatele mogą spać dalej spokojnie, kołysani śpiewną melodją legendy.

Jedna z takich „bolszewizujących" osób, wyklęta oddawna przez rabską opinję, wydała w tych czasach książkę straszną, i to o wiele straszniejszą dla prawdziwych patrjotów, niż dla wrogów wewnętrznych. Ci ostatni mogliby się cieszyć, patrząc na rozpaczliwy obraz oświaty polskiej, przedstawiony przez autorkę, gdy człowiek, czujący narodowo musi odczuć dotkliwie ten ból prawdy, zapierający oddech w piersi.

Autorka nie sprzecza się z nikim, nikomu nie wymyśla, nikogo nie gromi. Spokojnie, bez patosu, czy deklamacji, zestawia fakty i grupuje cyfry. Fakty, stwierdzone urzędowo, i cyfry, wyjęte z urzędowych statystyk. Z tego materjału wyprowadza wnioski, naturalne, proste i rzeczowe, zgodne zapewne z jej własnym poglądem na istotę sprawy społecznej, lecz pasujące równie dobrze do każdego innego kompleksu poglądów, — tylko dla wyznawców tychże daleko bardziej groźne i w skutki brzemienne. Przypatrzymy się tym faktom i cyfrom.

W Polsce jest ok. 5.400.000 dzieci w wieku szkolnym. Z tej liczby uczęszcza do szkół ok. 3.400.000, czyli innemi słowy dwa miljony dzieci pozbawione są nauki z powodu braku szkół. Co czyni p. Minister Oświecenia, ażeby temu zaradzić? Zapewne wytęża wszystkie siły, by odwrócić od Rzeczypospolitej tę straszliwą klęskę, której skutki kraj ponosić będzie przez 50—60 lat?... P. Minister wydaje dn. 18 maja 1924 r. tajny okólnik, ażeby w imię nakazu oszczędności nie otwierać nowych szkół i zamykać szkoły źle prosperujące. Tak wygląda u nas w niektórych głowach sancja finansów...

Bezpłatność szkoły powszechnej jest najzupełniejszą fikcją, gdy budżet rządowy jest tak nikły, że wszystkie niemal koszty obciążają rodziców. Dosyć powiedzieć, że na pomoce szkolne wyznaczono w nowym budżecie dla każdej szkoły na cały rok sumę... zł. 18, wystarczającą od biedy na zakup jednego globusa.

Dalszą fikcją jest równość obywateli Rzeczypospolitej, przynajmniej w stosunku do szkoły. Szkoła powszechna jest szkołą złą, w której dzieci zdobywają zaledwie „okruchy programu zasadniczego nauczania elementarnego", przebywając nadto w najfatalniejszych warunkach higjenicznych w t. zw.

jednoklasówkach, gdzie jedna osoba naucza równocześnie ok. stu dzieci od lat 7 do 15, czyli odrazu wszystkie siedem oddziałów szkoły. Natomiast szkoła średnia, w której stosuje się współczesne metody wychowania i dydaktyki, jest dostępna tylko dla lepiej sytuowanych warstw ludności lecz i te w przeważającej większości nie mogą sobie pozwolić na przeprowadzenie dzieci przez całkowity kurs szkolny: 80% uczniów klas niższych nie kończy szkoły, i z tej liczby rekrutuje się mało produkcyjna, szkodliwa raczej grupa niedokształconych. Pomimo to, wobec niskiego stanu szkoły powszechnej, ogół garnie się do szkoły średniej, skąd powstaje niezdrowy nadmiar szkół tego typu. W Anglji na 33 miljony ludności przypada uczniów szkół średnich około 165 tysięcy, we Francji na 39 miljonów — 133 tysiące, gdy w Polsce na 27 miljonów jest uczniów szkół średnich aż 211 tysięcy!... Ta pozorna wyższość przemienia się w stosunek odwrotny, gdy zważymy, iż tylko 20% tej liczby kończy istotnie szkołę średnią.

Warunki higjeniczne szkoły powszechnej rujnują zdrowie zarówno dzieci, jak i nauczycieli. W samej Warszawie urlopy, przyznane nauczycielom szkół powszechnych na podstawie orzeczenia lekarskiego, wynosiły od września 1923 do marca 1924 siedemdziesiąt dziewięć lat.

W tych warunkach nauczanie w szkole powszechnej byłoby niewiele warte nawet przy najlepiej przygotowanym i wypróbowanym personelu nauczycielskim. Tymczasem personel ten w przeważającej większości nie posiada nawet wykształcenia w zakresie szkoły średniej, poprzestając z musu na ukończeniu seminarjum nauczycielskiego, które z wychowańców bezwartościowej szkoły powszechnej „preparuje“ w możliwie szybkiem tempie wychowańców nowych pokoleń. Mało tego: ci, tak zwani „wykwalifikowani nauczyciele“ stanowią zaledwie 59% ogółu, pozostali zaś nie posiadają nawet tago minimum przygotowania, dokształcani naprędce na kilkomiesięcznych, lub kilkotygodniowych kursach.

Gdybyśmy nawet chcieli położyć to wszystko na karb tak modnej u nas dzisiaj oszczędności — która zresztą w tym, jak i w wielu innych wypadkach, byłaby najlekkomyślniejszą rozrzutnością — to jednak sprzeciwią się temu z całym naciskiem fakty i cyfry. Mianowicie, koszt nauki jednego ucznia szkoły powszechnej wynosi Zł. 50.— gdy nauka jednego ucznia szkoły średniej kosztuje puństwo Zł. 250.—, t. j. pięć razy więcej. Cztery najniższe klasy szkoły średniej odpowiadają kursowi szkoły powszechnej; liczba ogólna uczniów tych czterech klas w szkołach państwowych wynosiła w r. 1922/23 ok. 53 tysięcy; gdyby chodziło istotnie o oszczędność, to cóż prostszego, jak skasować te cztery klasy szkoły średniej państwowej, zmuszając ogół ludności do korzystania ze szkoły powszechnej i czyniąc szkołę średnią — nadbudową szkoły

elementarnej, co odpowiada w zupełności organizacji szkolnictwa w myśl zasad konstytucyjno-demokratycznych. Wówczas, bez powiększenia budżetu, możnaby tym samym kosztem kształcić pięciokrotnie liczniejszą rzeszę dzieci. Władze oświatowe nie czynią tego, gdyż, znając dobrze wartość szkoły powszechnej, nie chcą pozbawiać lepszej nauki i lepszych warunków higjenicznych przynajmniej garsteczki zamożniejszych, jakkolwiek dzieje się to z krzywdą ogółu obywateli.

Oprócz sfer najuboższych, krzywdzona jest też stale w organizacji naszego szkolnictwa ludność wiejska. Materjał cyfrowy wskazuje, że „na wsi powstaje szkół niewiele, liczba uczniów powiększa się wolniej, liczba nauczycieli równa się prawie liczbie szkół nowozorganizowanych, szkoły te to jednoklasówki". To samo upośledzenie wsi dostrzegamy w zakresie szkolnictwa zawodowego: szkół rolniczych wszelkiego typu mamy ogółem 74, haldlowych zaś, przemysłowych i technicznych 309, — gdy ludność rolnicza wynosi przeszło 60% mieszkańców kraju.

Najgorzej traktowane jest szkolnictwo kresowe; tak np. w województwie nowogrodzkiem jest wszystkiego 3,6% nauczycieli wykwalifikowanych. Wogóle szkół, przeznaczonych dla mniejszości narodowych jest o wiele za mało w stosunku do statystyk urzędowych, co powoduje takie np. fakty, że „34 szkoły średnie niemieckie utrzymuje w Rzeczypospolitej Zrzeszenie Nauczycielskie. Dla człowieka, nawet powierzchownie obznajmionego z cyframi statystycznemi, nie może ulegać wątpliwości, że nieliczne nauczycielstwo niemieckie nie byłoby w stanie stworzyć i utrzymać 34 szkół średnich. Fundusze na te szkoły gromadzone są poza granicami państwa polskiego". Cóż mówią na to nasi przysięgli obrońcy stanowiska narodowego, uzbrojeni stale w najcięższe kolubryny, wymierzone przeciwko Niemcom? Czyż istotnie potrzeba aż głosu osoby wyklętej przez nich za stanowisko antynarodowe, ażeby zwrócić im uwagę na groźne niebezpieczeństwo takich stosunków?..

Przytoczyliśmy tutaj garsteczkę faktów, pozostawiając na boku komentarze i wnioski autorki, jakkolwiek są one ściśle rzeczowe. Chodzi nam tutaj nie o takie, lub inne pojmowanie zadań i organizacji szkolnnictwa, lecz o zwrócenie uwagi ogółu na rozpaczliwe położenie, wymagające natychmiastowej poprawy. Należałoby założyć niezwłocznie jakieś Towarzystwo Przyjaciół Szkoły Powszechnej, które rozpoczęłoby energiczną akcję zaradczą, pociągnąwszy do wpółpracy wszelkie czynniki społeczne, skoro odnośne władze są nieudolne i bezradne.

A może fakty i cyfry, podane przez autorkę są nieprawdziwe? Lecz w takim razie Ministerstwo Oświecenia powinno ogłosić urzędowe sprostowanie; dopóki tego nie uczyniono, książka p. Sempołowskiej zawiera samą prawdę, od początku do końca. Można bowiem przemilczeć broszurę niemiłego

autora—stara to i wypróbowana metoda,—lecz niema sposobu na zabicie prawdy, która domaga się czynu zaradczego, w imię najżywotniejszych interesów Rzeczypospolitej, — zlekceważona zaś, może mścić się w sposób okrutny.

x.

KRONIKA POLITYCZNA.

WŁOCHY. W odpowiedzi na rewelacje Rossiego, b. szefa biura prasowego w Prezydjum Rady Ministrów, o udziale Mussoliniego w aktach terroru dokonywanych przez faszystów na członkach opozycji, które to rewelacje stały się punktem wyjścia dla ponownego ataku opozycji na antikonstytucyjne i terrorystyczne rządy faszystów, Mussolini wygłosił dn. 3 stycznia w parlamencie wielką mowę polityczną w której miedzy innemi oświadczył: „wobec całego zgromadzenia, i wobec całego narodu włoskiego sam jeden przyjmuję całkowitą odpowiedzialność polityczną, moralną i historyczną za wszystko, co zaszło", oraz zapowiedział decydującą walkę rządu i faszyzmu z opozycją, i zakończył: „Bądźcie przekonani, że w 48 godzin po mojem przemówieniu sytuacja zostanie wyjaśniona". Opozycja, na wniosek Mussoliniego, nie została przez większość dopuszczona do głosu, parlament zaś odroczony bez oznaczenia terminu najbliższego posiedzenia. W odpowiedzi na zapowiedź nowych represji faszystowskich trzej ministrowie ze stronnictwa Liberalnego: Casati — oświata, Saracchi — roboty publiczne i Ovilio — sprawiedliwość podali się do dymisji. Na ich miejsce mianowani zostali faszyści: Fedelo, Rocco i Giuratti. Do dymisji również podał się delegat Włoch w Lidze Narodów, Salandra, oświadczając, iż jako liberał nie może aprobować postępowania Mussoliniego. W całych Włoszech rozpoczęła się fala ostrych represji w stosunku do lokali publicznych, pism i mieszkań prywatnych opozycjonistów, masowo osadzanych w więzieniach.

SPRAWA EWAKUACJI STREFY KOLOŃSKIEJ jest w chwili obecnej głównym przedmiotem dyskusji pomiędzy Mocarstwami Sprzymierzonemi a Niemcami. Na podstawie postanowień Traktatu Wersalskiego sprzymierzeni zobowiązali się ewakuować zajętą tytułem zastawu strefę kolońską w pięć lat po podpisaniu traktatu, t. j. 10 stycznia 1925, pod warunkiem ścisłego wypełnienia przez Niemcy wszystkich warunków traktatu. Celem powzięcia decyzji w tej sprawie, dn. 27 grudnia ub. r. zebrała się w Paryżu konferencja Ambasadorów pod przewodnictwem przedstawiciela Francji p. Juljes Cambona, z udziałem ambasadorów Anglji, Włoch, Belgji, Japonji i „obserwatora" Ameryki Półn. Wysłuchawszy raportu prezesa Aljanckiej Komisji Wojskowej, marszałka Focha konferencja uznała jednomyślnie za niemożliwe ewakuować strefę Kolońską dn. 10 stycznia 1925, a to z uwagi iż warunki dotyczące rozbrojenia nie zostały przez Niemcy dotrzymane. Decyzja ta została notyfikowana Niemcom wspólną notą sprzymierzonych wręczoną przez ambasadora Anglji w Berlinie, lorda d'Albernoona kanclerzowi Marksowi dn. 5 stycznia, w której stwierdzono: 1) przeprowadzenie rekonstrukcji wielkiego sztabu generalnego niemieckiego; 2) powoływanie i szkolenie rekrutów oraz ochotników; 3) pozostawienie w poprzednim stanie wojennych zakładów przemysłowych; 4) istnienie nadwyżki materjałów wojennych ponad ilości dozwolone; 5) niezreorganizowanie policji państwowej; 6) brak zadośćuczynienia żądaniom sojuszników dotyczących zarządzeń ustawodawczych i administracyjnych. Na notę rząd niemiecki przygotowuje odpowiedź, w której oświadczając że nie może postawionych przez sprzymierzonych zarzutów przyjąć do wiadomości, ma się domagać ewakuacji strefy kolońskiej w przewidzianym przez traktat terminie.

GDAŃSK stał się dn. 6 stycznia terenem nowej prowokacji niemieckiej przeciwko Rzeczypospolitej. Mianowicie w nocy z dn. 5 na 6-ty w całym mieście nieujawnieni dotychczas sprawcy zamalowali skrzynki polskiej poczty barwami monarchistycznemi niemieckiemi, wśród objawów zachęty ze strony niemieckiego dziennika *Danziger Zeitung*. W odpowiedzi na ten akt prowokacji, dokonany bezkarnie na oczach gdańskich organów bezpieczeństwa, Komisarz Rzeczypospolitej Strassburger wystosował do Senatu wolnego miasta pod datą 6 stycznia notę, w której domaga się: 1) „natychmiastowego przeprowadzenia śledztwa w celu wykrycia sprawców i zakomunikowania rządowi polskiemu przebiegu i wyniku dochodzeń", 2) natychmiastowego pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej organów prasy winnych prowokacji zajścia, 3) wydania organom bezpieczeństwa „jaknajostrzejszych poleceń ochrony polskiego mienia państwowego przed czynami gwałtu" 4) zadośćuczynienia za naruszenie eksterytorjalności gmachu Komisarjatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej. W konkluzji noty Komisarz zastrzega dla rządu polskiego, na wypadek „gdyby miejscowe siły policyjne okazały się niewystarczającemi", „przedsięwzięcie dalszych kroków dla ochrony swego mienia i normalnego funkcjonowania urzędów". Senat gdański odpowiedział notą z dnia 7 stycznia ubolewając w zasadzie nad przykremi zajściami, składa jednak za nie odpowiedzialność na Polskę, która, zdaniem Senatu „samowolnie" wywiesiła w Gdańsku polskie skrzynki pocztowe, i w tym względzie powołuje się na orzeczenie Wysokiego Komisarza Ligi Narodów z dnia 23 grudnia 1922 r., przekreślone następnie układem polsko-gdanskim z 18 kwietnia 1923 r., o którym Senat w nocie nie wspomina. Komisarz Rzeczypospolitej Strassburgier odpowiedział tegoż dnia na notę Senatu podtrzymując w całej rozciągłości sentencje pierwszej swojej noty, oraz stwierdzając na podstawie dokumentów, iż w niszczeniu polskich skrzynek pocztowych brali udział umundurowani urzędnicy gdańscy.

PROJEKT KONKORDATU Polski z Watykanem przekazany został kolegjum kardynałów. Podnieść należy, że projekt ten nie został jeszcze podany do wiadomości polskiego społeczeństwa.

ZJAZD WOJEWODÓW odbył się w Warszawie dnia 5 i 6-go stycznia przy udziale wszystkich wojewodów i przedstawicieli ministerstw, oraz v. premjera Thugutta. Omawiano wszystkie sprawy wchodzące w zakres administracji państwowej, sprawę nieurodzajów, ubezpieczeń, uporządkowania ustawodawstwa i t. d. Specjalnie omawiane były stosunki w województwach kresów wschodnich i zachodnich. Rezultaty konferencji nie zostały ogłoszone.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**
Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA", Moniuszki 11.